

PŁOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20

TOM II

NR. 23

WARSZAMA, 17 LUTEGO 1936 ROKU



W C Y R K U



W CYRKOWEJ BUDZIE

Zbierają się ludzie
gdzie cyrkowa buda,
bo w cyrkowej budzie
pokazują cuda.

Są tam dwaj pajace,
każdy pięknie skacze,
mają głosik cienki,
śpiewają piosenki.

Jeden gra na miotle,
drugi na butelce.
Patrzą się ludziska,
dziwują się wielce.

A tam znowu w górę
linoskok na sznurze,
idzie równo, ładnie,
cud, że nie upadnie.

To ci przedstawienie!
Konik na arenie.
Na koniku panna
prześlicznie ubrana.

Na paluszkach stoi,
upaść się nie boi,
choć zeskoczy w pędzie,
to jej nic nie będzie.

Tu małpeczka bura
tańczy mazura.
Druga w krynolinie
gra na mandolinie.

A tu już nie żarty!
W klatce dwa lamparty.
Oba cętkowane,
niby malowane.

Zwierz to bardzo dziki,
przyjechał z Afryki.
Kiedy podejść zbliżka
to zębami błyska.

Hej, tłoczą się ludzie,
gdzie cyrkowa buda,
bo w cyrkowej budzie
pokazują cuda!

A. Świrszczyńska

DZIEWCZYNIKA Z BAJKI

W ciągu jednej, jedynej nocy wyrósł na rynku miasteczka olbrzymi, płócienny namiot, tak wielki, że Janek, przechodząc z siostrą obok tych wspinających budowli (dokoła kryły się nie wielkie budy) krzyknął ze zdumieniem:

— Patrz, co za cyrk!

— Cyrk i już — odparła Krysia, siłując się na obojętność, chociaż sama pierwsza przystanęła na wąskim, zabłoconym chodniku, by napatrzeć się dowoli na te cuda.

— Czegoś podobnego nie było jeszcze u nas. Muszę pójść jeszcze dzisiaj na przedstawienie — ciągnął dalej Janek tonem dorosłego. Zresztą czuł się dorosłym. Bo czyż nie skończył we wrześnie dwunastu lat?

— Chcesz iść do tej budy? — zagadnęła siostra.

— Do jakiej budy? To przecież cyrk, rozumiesz, prawdziwy cyrk, a nie jakaś tam cygańska buda. Wyrażaj się inaczej, Krysiu!

— Wszystko jedno...

Omal że nie spóźnili się do szkoły.

— O, wcale nie!

Ale nie tylko oni, gdyż i inne jeszcze dzieci podziwiała cyrk. Tego dnia nauka dłużyła się, jak nigdy. Zamiast o rachunkach, historii, geografji, czy polskim, wszyscy myśleli o cyrku, i tylko o nim. Cyrk przylotczył wszystko. Wyrósł niemal do roli dziejowego zdarzenia. Toteż z prawdziwą ulgą powitały dzieci koniec lekcji.

Janek wracał do domu w gromadzie kolegów. Słuchał, jak Wierczak opowiadał o afrykańskich pustyniach, gdzie stoją namioty dzielnych szejków arabskich, otulonych w śnieżne burnusy, a gawędę swą zakończył stwierdzeniem, że cyrk przypomina mu żywo rezydencje marokańskich wodzów, tembardziej, że musi tutaj też być prawdziwy lew, „król pustyni”. „Každy cyrk ma swojego lwa!” dodawał.

Gromada chłopców zatrzymała się nagle, bo oto na rogu drewnianego domu zazieleniał znieńacka ogromny afisz, wypełniony mnóstwem rysunków, wśród których byli: akrobaci, żonglerzy, tancerki, kłowni i zwierzęta. Powszechną uwagę wzbudził obrazek, przedstawia-

jący „dziewczynkę z bajki”, „dziecko bez kości, piękną Zizi”, z główką owiniętą uściskiem nóg, ubranych w trykoty.

— Cóż to za „dziewczynka z bajki”? — interesował się Janek.

— Pójdź, to i nam opowiesz — rodził Stefański, syn stróża — bo ja nie będę w cyrku. Ojciec mój nie ma na chleb!

— Będą też tresowane konie! — zauważył któryś.

— I akrobaci!

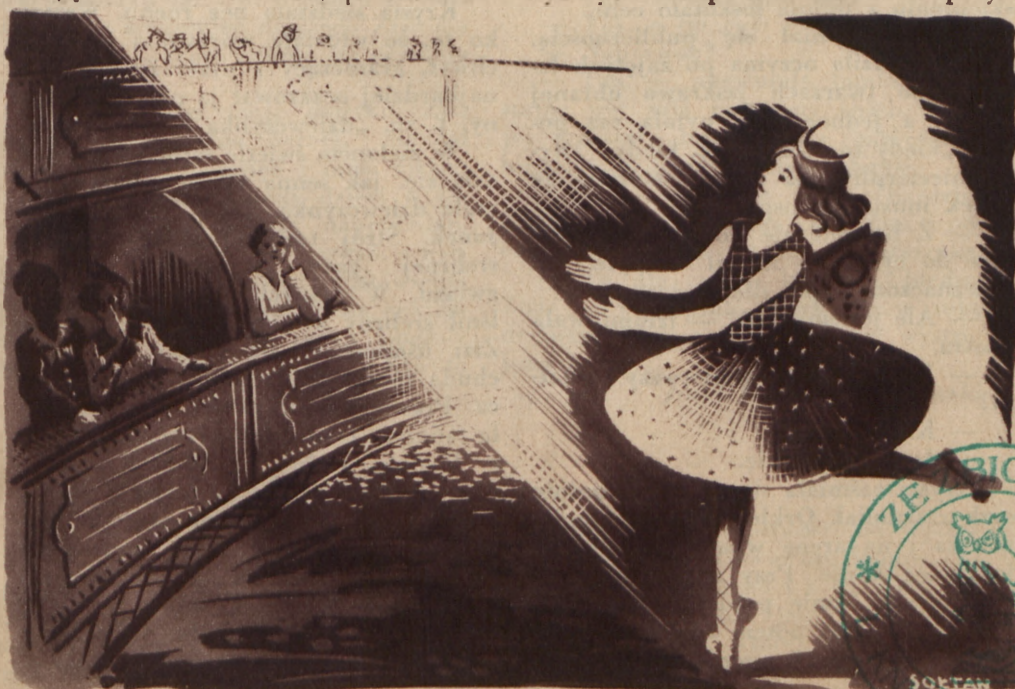
— I kłowni!

— I lew z Sahary!

— A polykacz ognia!

Wieczorem Kryśia nie mogła usiedzieć w miejscu. Opowiadanie Janka o „dziewczynie z bajki”, przekonało ją, że i ona musi pójść do cyrku. Mama zgodziła się na to chętnie. „Chociaż sama cyrku nie lubię — mówiła do córki — to jednak z wami pójdę”. O siódmej wyszły z domu. W połowie drogi przyłączył się Janek.

Cyrk posiadał okrągłą, piaskiem wysypaną arenę, odgródną od publiczności drewnianą barjerą. Pod płócienną kopułą, rysowały się w świetle elektrycznych lamp nieruchome trapezy.





Na wysokiej, czerwonym pluszem obitej trybunie grała orkiestra marsza a potem polkę. Mosiężne trąby dęły tak przerażająco, jakby za chwilę miał rozpocząć się Sąd Ostateczny. Bęben walił grzmotem piorunów. Po rozległym sklepieniu z płótna łoskotało echo.

Cyrk zapelniał się publicznością. Krysia wodziła oczyma po zajętych ławach, po twarzach jaskrawo ubranej służby, a jednocześnie pytała raz po raz: „kiedy to zacznie się, kiedy?” Była zniecierpliwiona do tego stopnia, że Janek musiał ją uspokajać:

— Z babami nie powinno się chodzić do cyrku — mówił — Cyrk jest przeznaczony tylko dla mężczyzn.

— Ale jestem i już! — triumfowała siostra.

— Wiedz, że to raz pierwszy i ostatni!

— Kto wie?

— Ja ci to mówię.

Krysia zaśmiała się. A równocześnie cyrk zaszumił. Orkiestra znów zagrała marsza i na arenę wpadły dwa białe, jak śnieg konie. Przy akompanjamentie muzyki, konie popisywały się swą tresurą. A zaraz potem zjawił się czarno ubrany pan i począł łykać kłęby

ognia, by zaraz przejść do „przecina-
nia piłą żywego człowieka”, wygrzeby-
wania gołębi z wazy, wypełnionej
pszenną mąką i palenia banknotów,
które za chwilę wydobywał z popiołu,
całe i... nietknięte.

Krysia siedziała bez ruchu. Wszyst-
ko to, co widziała wprawiało ją w za-
chwył, graniczący z przerażeniem. Ale
najbardziej oczarował ją numer następ-
ny, t. zn. „dziewczynka z hajki”, Zizi.

W zielonem świetle reflektorów uka-
zała się, jak senna zjawa, ośmioletnia,
mała dziewczynka. „Zizi”! — krzyknął
Janek. Strój tancerki składał się ze
srebrnej gazy, osypanej tysiącem
gwiazd. W jasnych, jak len włosach
lśnił srebrny księżyc. Różowe usteczka
Zizi uśmiechały się słodko, a prawa
chuda rączka tuliła publiczność do ser-
ca. Prawie nie dotykając areny, zaczę-
ła tańczyć. Taniec ten przypominał pła-
sy boginki wodnej na liściach nenufa-
rów. Był naprawdę „z hajki”! Toteż
Krysia z bijącym sercem śledziła każ-
dy ruch maleńkiej Zizi, oczarowana
jej nieziemskością i jej uśmiechem
i strojem, kapiącym od srebra.

Naraz wszystko zgasło. Na arenę
wypadł z krzykiem cudaczny błazen,

a za nim pies o najeżonej sierści. Błazen śmiał się głośno, wilezur szczekał i znów pokazała się śliczna Zizi. Teraz miała na sobie tylko trykot. Ukłoniła się uprzejmie i rozpoczęła zadziwiające sztuki, jako „dziecko bez kości”. Jej drobne, wątle ciało gięło się, piły guma. Nogi oplątywały szyję, ręce drżały, a kręgosłup naśladował ruchy węża. Robiła to wszystko z pozorną łatwością i nieodstępnym uśmiechem.

Posypały się gęste oklaski. Jeszcze popisy akrobatów i widowisko było skończone. Krysia wyszła z mamą na zabłocony dziedziniec. O, jakże teraz pragnęła być taką śliczną „dziewczyną z bajki”, Zizi! Przecież móc nosić podobne stroje, tak tańczyć, a wreszcie zbierać oklaski, to szczęście. Janek zaś chciał być akrobatą. Ta bowiem sztuka podobiała mu się najbardziej.

W domu, zaraz po kolacji, mama westchnęła:

— Biedna dziewczynka!

— Jaka dziewczynka? — zapytała Krysia.

— Zizi! — odpowiedziała mama ze smutkiem.

— Dlaczego „biedna”? Ja chciała-bym być taką Zizi! — ciągnęła Krysia, nie mogąc zrozumieć dlaczego Zizi ma być „biedna”, skoro suknia jej ociekała od srebra.

— Bo widzisz moje dziecko, Zizi jest prawdopodobnie sierotą. Ma lat osiem, a może dziewięć i musi ciężko pracować na chleb, kiedy dzieci w jej wieku bawią się i uczą naprzemian. A praca tego dziecka jest bardzo, a bardzo ciężka. Podczas przedstawienia srebrzy się na niej tania, licha sukienka, a teraz, kiedy w cyrku pogasły światła, może drżać z zimna? Kto to

zresztą wie. W każdym bądź razie nie jest to „dziewczynka z bajki”!

Krysia posmutniała i nie mówiła już nic więcej. Natomiast postanowiła koniecznie odwiedzić małą Zizi. Plan ten wykonała zaraz nazajutrz. Dnia tego wypadła niedziela. Krysia w zupełnej tajemnicy udała się w stronę namiotów. Zdała już dostrzegła dym, wijący się z żelaznych kominów, wyglądających z bud cyrkowych. Ostrożnie wsunęła się za barjerę i znalazła się w obozie cyrkowców. Szukała Zizi, ale chociaż było tam wiele dzieci, to jednak nigdzie nie mogła znaleźć wczorajszej boginki. Zapytała więc jednego z panów:

— Gdzie mogłabym spotkać Zizi, proszę pana?

— O, tam siedzi na schodach wozu! — rzucił w przelocie.

— Tam? — powtórzyła, nie wierząc własnym oczom. Tak, na schodach siedziała rzeczywiście mała, wychudzona, trochę piegowata dziewczynka. Miała na sobie barchanową, połatana i okropnie brudną sukienkę. Jadła razowiec. Krysia zbliżyła się do małej i zagadnęła:

— Czy się nazywasz, Zizi?

— Tak, a bo co?

— Naprawdę?

— Tak — upewniała tamta, przestając jeść solą posypany chleb. Oczy jej wyrażały bezgraniczne zdziwienie, biegając po bogatym stroju Krysi.

Krysia zbliżyła się jeszcze bardziej i nagle owinęła rękoma szyję Zizi, i pocałowała ją w wylęknioną twarzyczkę.

— To dla ciebie, kochana, biedna Zizi, — wyszeptwała, wtykając w rękę dziewczynki swą dużą, ślicznie wystrojoną lalkę.

Józef Nikodem Kłosowski

OSWAJANIE ZWIERZĄT

Aby oswoić jakiegokolwiek zwierzę, aby wzbudzić w niem przywiązanie do opiekuna, trzeba wnikać w jego duszę, trzeba wyczuć i umiejętnie wykorzystać wszystkie, nawet najbardziej nieuchwytnie jego odruchy. Niełatwą i wy-

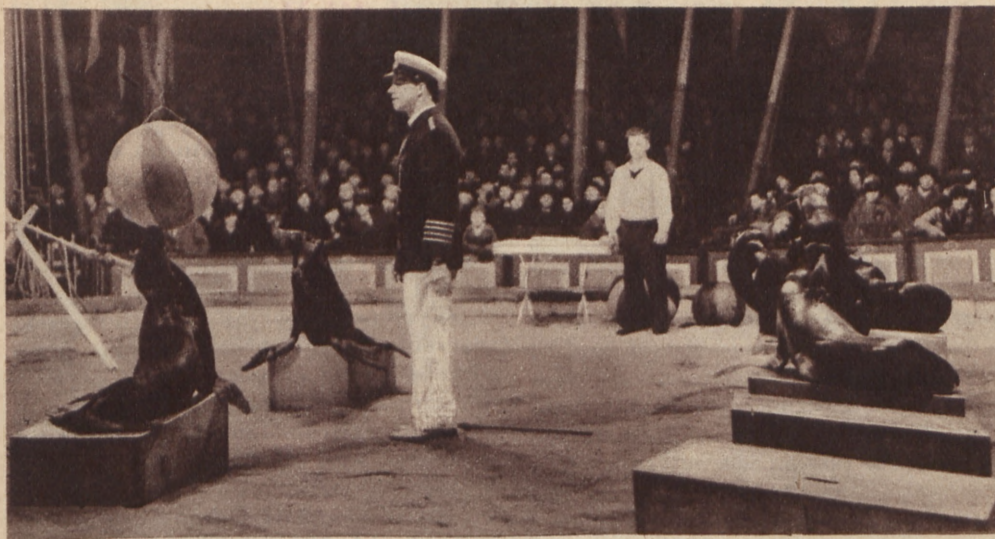
magającą wiele cierpliwości od wychowawcy jest tresura zwierząt domowych: psa, kota, konia, świni i t. d., a cóż dopiero mówić o oswajaniu i tresurze zwierząt dzikich, które nie zatraciły, tak jak domowe, przemożnego pędu do



niezem nieskrępowanej wolności! Jednak i w tym wypadku człowiek daje sobie radę, uzbrajając się w cierpliwość i starając się wyzyskać wszystkie dodatnie cechy duchowe danego zwierzęcia. Tylko pieśczołą, łagodnością i spokojną stanowczością możemy wypłenić z duszy zwierzęcia nieodpowiadające naszym wymaganiom cechy. Wzbudzając swoją osobą uczucie strachu, człowiek nigdy nie może być pewny trwałości sukcesów, bo zwierzę zatai w sobie nienawiść i, o ile będzie to niebezpieczny drapieżnik, skorzysta z chwili nieuwagi swego pana i władcy i pomści dawne krzywdy. Na tem polegałaby, w krótkich słowach ujęta, wewnętrzna strona oswajania, względnie tresury. Co się tyczy zewnętrznej, to na pierwszym miejscu należałoby postawić zapewnienie zwierzęciu najlepszych i najdogodniejszych warunków, aby nie czuło się niewolnikiem, lecz mile widzianym gościem. Przedewszystkiem chodzi tu o dostarczenie odpowiedniego i smacznego pożywienia, o wygodne i przytulne mieszkanie i zapewnienie największej swobody, udzielanej zwierzęciu stopniowo, w miarę jego oswajania się i rozwoju inteligencji. Teraz słów kilka poświęcić należy pytaniu, kiedy, w jakim wieku zwierzęta są najpodatniejsze, kiedy najbardziej ulegają wychowawczym wpływom człowieka. Jest rzeczą zrozumiałą, że im zwierzę jest młodsze,

tem łatwiej przyzwyczajają się do wychowawcy. Od jego umiejętności zależy stopień zagłuszenia w pupilu zewu krwi, instynktu, który odtwarza w duszy zwierzęcia obraz życia jego przodków. Wszystkim są znane przykłady oswajania małych niedźwiadków, które po wyrośnięciu nawet zachowywały cechującą wiek młodociany łagodność i posłuszeństwo. Często bywają też wypadki nagłego przebudzenia się w tem naogół spokojnem zwierzęciu krwiożerczości, co najczęściej jest spowodowane niedostatecznością dozoru i niesumieinnem spełnianiem przez człowieka obowiązków wychowawczy. Małe niedźwiadki są przemiłe i przywiązują się do swojej niani, jak dzieci, szczególnie, jeśli wychowujemy je od maleńkości, wykarmiając smoczkiem. Małe lwy, tygrysy, lamparty i pumy również, choć w mniejszym stopniu, przywiązują się do człowieka i na tem przywiązaniu opierać się może najdoskonalsza tresura cyrkowa, stając się wówczas niezawodną, ponieważ zwierzę stara się wykonać najrozmaitsze sztuki nie ze strachu przed pogromcą, lecz z dobrej woli. Nieodzowną cechą opiekuna i wychowawcy dzikich drapieżników musi być śmiałość. Oprócz





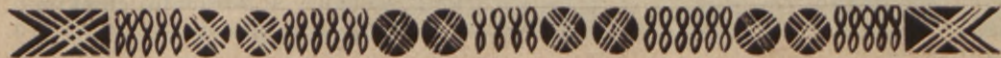
tego powinien on być dobrym obserwatorem i nawet naśladowcą głosów zwierzęcych. Niektórzy ludzie wzbudzają w dzikich zwierzętach niczem nie dające się wytłumaczyć zaufanie.

Miałem niedawno możność przekonania się o zadziwiającej potulności najdzikszego z wilków w Warszawskim Ogrodzie Zoologicznym, t. zw. Heroda, który dał się głaskać i wtórował mi przeciągłym wyciem, gdy spróbowałem przemówić doń w jego mowie. W Zwierzyni Wolskim pod Krakowem zawarłem również bardzo miłą znajomość z małym, swobodnie biegającym po ogrodzie rysiem. Ryś ten zachowuje się przyjaźnie względem wszystkich zwiedzających, lecz do mnie poczuł niezwykłą sympatię, która się wyraziła w obejmowaniu łapkami za szyję i w energicznym lizaniu po twarzy. Jako drugi przykład nadzwyczajnego oswojenia rysi wskazać trzeba na wychowanki pani Dyrektorowej Żabińskiej, którym ich opiekunka poświęca bardzo ciekawą i miłą książkę p. t. „Jak białowieskie rysice zostały warszawiankami”. A więc ryś, najokrutniejszy drapieżnik naszych lasów, stać się może pod wpływem kochającego wychowawcy łagodny, jak kotek domowy. Z natury rzeczy znacznie łatwiej dają się oswajać zwierzęta tra-

wożerne. Naogół odznaczają się one mniej rozwiniętym rozumem, niż drapieżniki, lecz braki te sowicie są wynagrodzone przyrodzonym wdziękiem, który cechuje np. sarenki. W młodym wieku sarny, daniela i jelenie są nadzwyczaj łagodne, później zaś właściwość tę zachowują tylko samice, samce zaś stają się częstokroć niebezpieczne. Zatracać uczucie strachu przed człowiekiem, kierują się one tylko własnymi kaprysami i nieraz bez widocznego powodu puszczają w ruch swój oręż — ostre poroże. Dziki — wychowywane od wczesnej młodości — wykazują pewien stopień przywiązania do człowieka, choć są wielkimi uparciuchami. Wogóle dorównują one pod względem pojętności domowym świniom, łatwo poddającym się tresurze.

Poprzestając na tych przykładach, których można byłoby przytoczyć niezliczoną ilość, zaznaczam, iż ten sposób zbliżenia się do świata zwierzęcego jest godny polecenia wszystkim tym, którzy prawdziwie kochają przyrodę. Naturalnie nie każdy może sobie pozwolić na trzymanie niedźwiedzia lub rysia, lecz oswojenie tak „wielkiego” zwierza, jak wiewiórka lub myszka leśna, względnie tak „rzadkiego” ptaka, jak szpak lub kawka jest dla każdego dostępne!

Inż. Włodzimierz Lindeman



I R E N K A I L W Y

W jednym z większych cyrków wędrownych „Corona” ujrzałem zdumiewające widowisko.

Mała, najwyżej trzynastoletnia dziewczynka, kręciła się pomiędzy lwami w dużej klatce, wywijając batem.

Cztery olbrzymie bestje, płowe, gibkie, groźnie ryczące, skakały z ociąganiem, na rozkaz panienki, z postumentu na postument, szczerząc straszliwe kły.

Ponury, stłumiony warkot wyrwał się lwom z gardzieli, gdy mała, złotowłosa Irenka Hergottówna kręciła się po klatce, w zasięgu ich potężnych łap. Zwłaszcza lwica Sara fukała na nią z gniewem, usiłując rozczapierzonemi pazurami dosięgnąć jej główki.

A mała złotowłosa kruszyna zwijała się po klatce, podśpiewując wesoło i beztrosko, przestawiała cyrkowe postumenty i rekwizyty.

Publiczność siedziała oniemiała i cicha, patrząc z niepokojem na niebezpieczne popisy dziecka.

Irenka ustawiła dwa postumenty, a sama stanęła pośrodku.

— Sara, hop!



Lecz lwica wpadła w zły humor i za nic nie chciała przeskoczyć ponad Irenkę, z jednego postumentu na drugi.

Rozgniewana panienka skarciła nieposłuszną batem. Lwica aż przysiadła i, rycząc wściekle, jęła machać przed sobą olbrzymimi łapami, aby pochwycić bat.

Wyrwawszy bat ze słabych rącek, zaatakowała wprost dziewczynkę, przypierając ją do prętów klatki i przysiadła do skoku. Za chwilę zmiażdżyła to zuchwałe dziecko. Ludzie zamarli. Ktoś westchnął, ktoś jęknął, ktoś krzyknął.

Lwy, poruszone mruczeniem lwicy, wpadły w niepokój. Ogromnemi susami mierzyły klatkę, potęgując ogólne zamieszanie.

Wśród cyrkowców powstał ruch.

— Sara szaleje! Rewolwer, dajcie rewolwer!

Reżyser cyrkowy, błądy jak ściana, wycelował broń w lwicę i czekał nie wiadomo na co. Tylko Irenka nie straciła głowy. Oparłszy się o klatkę, wbiła jasne, mocne spojrzenie w rozszalałą lwicę i, o dziwo, lwica zaczęła się powoli uspakajać. Jeszcze mierzyła Irenkę wściekłemi, rozjarzonymi oczami, ale skuliła się i tylko ogon jej latał po piasku ze zdenerwowania. Wreszcie, nie mogąc znieść jasnego wzroku dziewczynki, odwróciła się i skoczyła na postument, gotowa do pracy.

Odetchnąłem, a za mną odetchnęli wszyscy.

Irenka spokojnie podniosła bat i nieustępliwie zawołała:

— Sara! Hop!

Lwica z niechęcią wykonała skok, przelatując wielkim łukiem nad dziewczynką. Skok ten musiała wykonać kilka razy.

Przedstawienie potoczyło się dalej.

Irenka śmiało tresowała lwy, ustawiając im schodki, drabiny i piramidy. Wreszcie, ustawivszy lwy na trzech postumentach, sama położyła się na drewnianej kanapie i zawołała cienkim, dzieciennym jeszcze głosem:



— Sara, no chodź, maleńka!

Lwica, ociągając się i mrucząc złowrogo, podeszła do kanapy i stanęła jak wryta, wpatrując się rozognionymi oczami w Irenkę.

Od strony reżysera popłynął szept:

— Irka, dość!

Jednak zuchwała panienka musiała postawić na swoim i wykonać program w całości, więc znów zawołała pieszczotliwie:

— Sara, no chodź, nie dąsaj się!

Lwica, zającami się ruchami, powoli, krok za krokiem, wspięła się na kanapę i ułożyła obok Irki, składając ciężki łeb na piersiach dziewczynki. A cała aż dygotała z podniecenia i złowrogi pomruk wyrывał się jej z gardzieli.

Spojrzałem na publiczność. Wszyscy zastygli i nikt nie śmiał nawet odetchnąć.

Irenka objęła ogromny łeb i przycisnęła do siebie, drapiąc czule lwicę za uchem. Bestja sapnęła z rozkoszy i przymrużyła jasno-żół-

te, gorące oczy. Irka uniosła główkę i spojrzała na publiczność, uśmiechając się filuternie.

Nikt jednak nie śmiał bić brawa i dopiero po długiej, długiej chwili, gdy lwica jednym susem zeskoczyła z kanapy, a Irka wstała, rozległy się ogłuszające oklaski. Strzelając z bata Irenka wypędziła lwy z klatki, a sama dygnęła jak pensjonarka, dziękując za oklaski. Teraz dopiero była onieśmielona, zatrwożona i bezzadnie spoglądała na rozgorączkowaną publiczność.

Po przedstawieniu pośpieszyłem za





kulisy, aby przeprowadzić z młodzieńką pogromczynią wywiad dla czytelników *Płomyka*.

Irka siedziała na drabinie i z zadowoleniem gryzła tabliczkę czekolady, machając nóżkami w powietrzu.

Przyjęła mnie bardzo uprzejmie i z całą gotowością udzieliła wywiadu.

— Jak to się robi, że się nie boję lwów? — powtórzyła. — Zwyczajnie. Lwy są bardzo miłe i kochane. To one raczej boją się mnie.

— Czego się boją?

— Bo jak wpadnę w złość, tobym rozdarła lwa! — oświadczyła zuchowato Irenka, ale śmiejące się oczy spojrzały z miłością na lwy, niespokojnie miotające się w klatkach.

— I zawsze są posłuszne? — dopytywałem.

— Prawie zawsze. Czasem się zatną, jak dzisiaj, ale wkońcu muszą być posłuszne, bo jakby nie, to jabym im dała, oho!

— A jak to się robi, żeby słuchały?

— Zwyczajnie, rozkazuje się i już. Trzeba mieć silny wzrok i umieć tresować. A już najgorzej się bać. Jak lwy poczują, że pogromca się boi, to już

niedobrze. Rzucą się wszystkie razem.

— No i co wtedy?

— Wtedy trzeba szukać nowego pogromcy! — roześmiała się Irka, oblizując paluszki po czekoladzie.

— A nigdy panna Irka nie miała wypadku ze lwami?

— Czasem się przytrafi. Kilka dni temu, podczas przedstawienia zgasło nagle światło. Ja właśnie znajdowałam się z lwami w centralce (w klatce). Przerażone nagłą ciemnością, lwy ryknęły ze strachu i zaczęły biegać po klatce, jak wściekłe. Chciałam się schować pod drabiną i wpadłam na Sarę, która

przycupnęła na stołku. Przewróciłam nieboraczkę, wpadłam na nią i obieśmy się potłukły. Sara zaczęła ryczeć w niebogłose, jakbym jej zrobiła krzywdę, a publiczność krzyczała ze strachu o mnie. Wreszcie Sara uciekła w jeden kąt, ja w drugi i koniec. Ale obie najadłyśmy się troszkę strachu.

— Tylko troszkę?

— Tak, bo ja nie lwów się bałam, tylko tego, że pociemku, kiedy przerażone rzucały się po klatce, któryś z nich mógł mnie niechcący przewrócić i podrapać.

— Niechcący? — zapytałem powątpiewająco.

— Niechcący, bo moje lwy mnie kochają — oświadczyła czupurnie Irka. — Napewno kochają! I ja je kocham!

— No, no! — mruknąłem. — A dawno panna Irka tresuje lwy?

— O, już strasznie dawno, od kilku lat. Przedtem miałam inne lwy, ale biedulki podusiły się i po-u-mie-ra-ły! — tu panna Irka zaczęła mocno mrugać powiekami i ze ślicznych, niebieskich ocząt puściły się niemięskie łzy. — Tak je kochałam, tak kochałam, a stajenni pozamykali wozy z klatkami i one się podusiły!

— Biedne — rzekłem ze współczuciem.

— Takie były śliczne, takie kochane, takie milutkie! — szlochał pogromca lwów w spódnice.

Ukoiwszy nieco swój żal, panna Irka zapuściła się we wspomnienia o zaletach swych czworonożnych ulubieńców.

— Raz też miałam z nimi przygodę. Miałam wtedy dziesięć lat i byłam jeszcze dzieckiem. Podczas przedstawienia klatka zaczęła się chylić i byłaby się przewróciła. Wśród publiczności powstał popłoch, a tu Nora, lwica bardzo chciała uciekać. Ja wtedy straciłam całkiem głowę, podbiegłam do Nory, chwyciłam ją za ogon i zaczęłam ciągnąć z całej siły i aż się uwiesiłam całym ciężarem. A lwica była już do połowy ciała za klatką. Na szczęście służba drągami spędziła lwicę, a Nora wtedy do mnie z pazurami, bo lwy nie znoszą, jak je kto rusza za ogon. Wtedy to się zlekłam, pierwszy raz w życiu. Całe szczęście, że służba ją odpędziła, ale stracha miałam okropnego, bo byłaby mnie podrapała.

Podrapała! Pomyślałem, że jednym uderzeniem łapy mogła była ją zmiażdżyć, ale zapytałem:

— Czy tylko lwy tresuje panna Irka?

— Niedźwiedzie także, ale to żadna sztuka. To leniwe i ospałe zwierzęta i wcale nie takie niebezpieczne. A na przyszły rok tatuś mi kupi na imieniny sześć lampartów, a może nawet tygrysów. To dopiero będę miała uciechę!

— A co jeszcze panna Irka umie?

— Tańczę na drucie, jeżdżę jako woltyżerka na nieosiodłanym koniu, tańczę wachodnie tańce i robię co trzeba, bo w cyrku trzeba umieć wszystko.

— A nie uczy się panna Irka?

— Jakto nie? Codziennie się uczę nowych sztuk. Teraz będę się uczyć



akrobacji napowietrznej na latających trapezach.

— Ja się pytam o szkołę.

— W szkole uczę się także. Całą zimę, jeżeli nigdzie nie występuję, chodzę do szkoły, a jak wyjeżdżamy na wiosnę z cyrkiem w objazd po Polsce, jeździ z nami nauczyciel.

— A lubi się panna Irka uczyć?

— O i bardzo, ale, niestety, mało mam czasu na naukę. Przecież trzeba pracować. A takbym chciała się uczyć i geografji i historii i innych rzeczy. Inne dzieci są szczęśliwe, że mogą się uczyć bez przerwy.

— Tak, szczęśliwy ten, kto może się uczyć, ale nie każdy to rozumie i umie ocenić. A nie ma panna Irka jakiej fotografii dla Płomyka?

— To pan pisze do Płomyka? Strasznie się cieszę, że moja fotografia będzie w Płomyku. Okropnie kocham Płomyk i każdy numer czytam od deski do deski. Nawet Płomyczek czytam, choć to dla dzieci. Zaraz panu dam fotografię i niech pan ucałuje ode mnie wszystkich czytelników Płomyka.

Powiedzcie mi, kochani czytelnicy, jak tu was wszystkich ucałować, skoro jest was kilkaset tysięcy? Nie dam chyba rady, więc tylko przesyłam wam pocałunki od Irenki Hergottówny z cyrku „Corona”.

Stanisław R. Hennig



PAMIĘTNIK CYRKOWEGO SŁONIA

Nazywam się Dżim. Mam lat 37, więc jak na słonia to jestem jeszcze bardzo młody. Pochodzę z Indyj, ze sławnego słoniowego rodu, który z dziada pradziada służył nie byle komu, bo radżom, czyli książętom indyjskim.

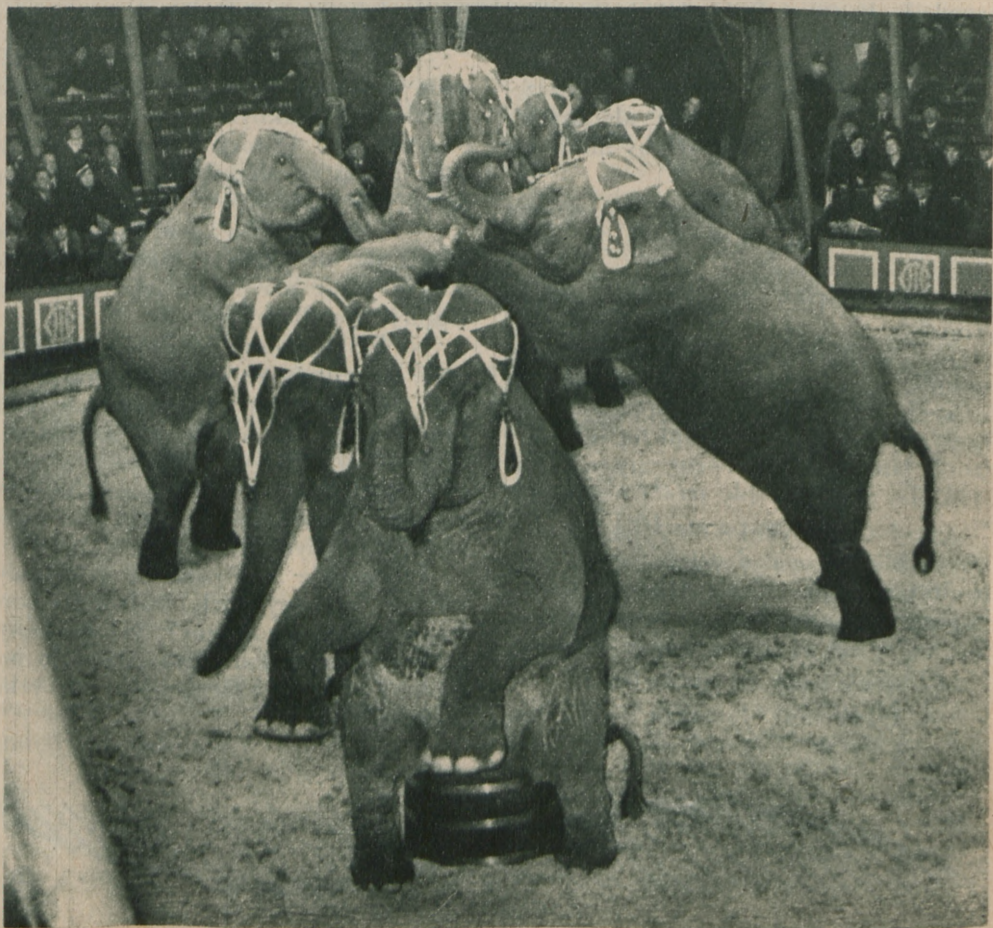
Jak twierdzą wszyscy, jestem bardzo piękny i zgrabny. Posiadam śliczne białe kły z prawdziwej kości słoniowej; moją głowę zdobią bardzo zgrabne i wcale niewielkie uszy, nie takie olbrzymie, jak u tego kłapoucha, mego dalekiego kuzyna, słonia afrykańskiego. A co się tyczy mojej trąby, to chyba niema nic piękniejszego i pożyteczniejszego na świecie.

Mój nowy pan zapłacił za mnie dużo złotych monet. Przywiózł mnie

z Indyj przez morza i oceany do wielkiego miasta Hamburga. Tu ukończyłem kurs nauk w znakomitej akademii cyrkowej. Nauczono mnie wielu ciekawych sztuk i popisów gimnastycznych. Umiem stanąć czterema nogami na jednym niewielkim stołku. Umiem podnieść się na dwóch tylnych nogach. Potrafię liczyć do trzech. Na rozkaz zapalam fajkę mego pana zapomocą dużej zapalki. Oczywiście, że do tej niepospolitej sztuki służy mi moja śliczna trąba.

Bardzo współczuję innym zwierzętom, że nie posiadają tak pięknej ozdoby.

Podług mego najgłębszego przekonania, w swych gimnastycznych popi-



sach jestem bardzo zgrabny i lekki, niemniej niż moja najlepsza przyjaciółka Nelli w swych popisach na trapezie.

Nelli jest córką mego pana; ma lat dwanaście, jeździ konno, fika koziołk. na trapezie i, aczkolwiek nie posiada ani trąby, ani tak błyszczących kłów jak ja, uważam, że jest bardzo piękna. A co stokroć ważniejsze, jest bardzo dobra.

Wszyscy w cyrku kochają Nelli, a ja najwięcej.

Że moje popisy cyrkowe należą do najbardziej udatnych, to widać wyraźnie po zachowaniu się publiczności.

Po moich występach słyszy się najwięcej oklasków (tyleż co i po występach Nelli), a na arenę cyrkową spada grad pomarańcz, cukierków i czekoladek. Wszystko dla mnie.

Gdy, na przykład, popisuje się mój drugi przyjaciel, pies Arnik, to nigdy nie zauważyłem, żeby mu rzucono choć jedną pomarańczę.

A zresztą sama Nelli mówiła mi, że na afiszu cyrkowym wydrukowano dużymi literami wielkie słowo „atrakcja” i to przy moim występie.

A przecie nawet małe dziecko wie, że słowo atrakcja oznacza coś znakomitego.

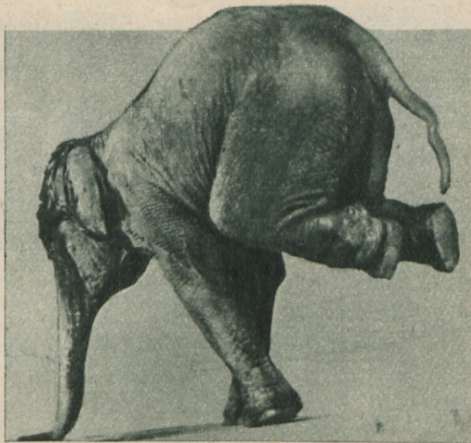
Prawdę rzec, to w cyrku jest mało pracy, znacznie mniej, niż było w Indiach, gdzie dźwigałem ciężkie belki do budowy pałaców książęcych, gdzie nawet w wojnie brałem udział, przenosząc działa z jednego fortu na drugi... Pracy mało, pożywienie dobre, dużo oklasków, dużo łakoci... A jednak nie lubię cyrku.

Gdyby nie przyjaźń, łącząca mnie z Nelli i Arnikiem, to nie wiem czy wytrzymałbym długo w tem cyrkowym życiu.

Publiczność widzi tylko to, co się dzieje na arenie. A nic nie wie, ile trudu, ile mozółu musi włożyć każdy żongler, każdy linoskoczek w swoje popisy, zanim wystąpi przed publicznością.

A ile niebezpiecznych, groźących śmiercią momentów przeżywają artyści cyrkowi!

Ot wczoraj, na przykład. Jak zwykle



przed każdym występem przybiega do mnie moja przyjaciółka, Nelli.

Ubrana w swój śliczny biały kostjum gimnastyczny, naszywany złotem blaszkami, wygląda wspaniale. Ale twarzyczka blada, oczy smutne. Powiada do mnie:

— Słuchaj, Dżimmi, taka jestem dzisiaj zdenerwowana. Całą noc snił mi się mój brat, co to, pamiętasz, spadł 3 lata temu z trapezu i zabił się. Głowa mnie boli. Tak się boję tych popisów na trapezie pod samym sufitem cyrku...

Chciałam się dzisiaj uwolnić, ale dyrektor nie zgadza się. Powiada, że publiczność będzie niezadowolona i przestanie przychodzić do cyrku, jeżeli się jej nie pokaże wszystkich zapowiedzianych numerów... Tak się boję, Dżimmi, tak się boję...

Ufff! westchnąłem ciężko i pogłaskałem trąbą jasną czuprynę Nelli, żeby zrozumiała, że jej współczuję całym mojem słoniowem sercem.

— Przytulę się do twojej trąby Dżimmi — dodaje Nelli — to może będę zdrowsza i śmielsza.

Pobiegła na arenę. Muzyka zagrała, publiczność poczęła klaskać!

A ja byłem cały czas taki niespokojny, jak niegdyś w Indiach podczas polowania na tygrysy. Nawet bułki z miodem, pozostawionej mi przez mą przyjaciółkę, zjeść nie mogłem z niepokoju.

A gdy wróciła do mnie cała i zdrowa, zatrąbiłem z radości w swą trąbę...

W. S.



Dziś na przedmieściu znowu
uliczkami wdół —
wlokły się wozy cyrkowe
z dudnieniem kół.

Stały za płotami.
Wyprężono konie.
Dzieci je obstały,
klaskały z uciechy w dłonie.

Zabrano się do roboty —
whito pale w piach.
Przed płótnem namiotu
dzieci krzyczały: — ach!

Na płotach podmiejskich
wiatr się kołysze.
Wzywają do cyrku
żółte afisze.

Przedstawienie w niedzielę!
Uwaga — dziś!
Atrakcyj wiele!
Prosimy przyjąć!

Oto są foki,
lwy i pantery!
John akrobata!
Tancerka Mery!

Dalej zabawni
Flip i Flap!
Dalej sławny
żongler Lapp!

Afisze wzywają, wiatr szeleści.
Zebrał się tłum.
Na placyku, na przedmieściu
gwar i szum.

A wieczorem, późną nocą,
gdy rozejdą się wszyscy —
cyrk zostanie sam wśród ciszy,
sam pod murem kamienicy.

Każdą liny traci lekko,
pogrąży wszystko w sen,
a blisko nad rzeką
rozłoży cień.

Andrzej Bruski

PRZEDSTAWIENIE

Trąba od gramofonu ryczała grubym głosem na całe podwórko:

— Dziś przedstawienie w cyrku!
Nadzwyczajne sztuki akrobatyczne!
Walka lwa z tygrysem! Małpy na tra-
pezie!

Z ciemnych sieni, z okien suteryn
i nadbudówek wychyliły się ciemne i
płowe czupryny, frunęły przez podwór-
ko cienkie warkoczki i ciepłe wełnia-

ne chusty. A Michał wrzeszczał z całej
siły przez czerwoną trąbę:

— Wejście tylko jeden guzik. Dzie-
ci do trzech lat na gapę!

Do kieszeni Michała sypały się gu-
ziki — czarne, błyszczące, i szare, po-
obrywane ze starości, i blaszane krążki
ze strzępkami nicianych obwódek. Wza-
mian za to dzieci otrzymywały żółty
papierek ze starego afisza z nagryzmo-

lonym podpisem Michała i jedno po drugim schodziło po stromych schodkach do obszernej izby w suterynie.

Dziewczynka z pierwszego piętra zbiegła nadół i podsunęła Michałowi kuszące, czerwone guziczki:

— Sprzedaj mi bilet!

— Mój cyrk jest dla prostych dzieci, a nie dla państwa, — mruknął pogardliwie chłopak.

— Ja też chcę zobaczyć! Słuchaj, dam ci na przedstawienie papugę.

Michał zerknął pożądliwie:

— Dasz, naprawdę?

Wspaniała niebieska papuga, marzenie wszystkich dzieci z podwórka, zdobyła dla Halinki łaskawe przyzwolenie Michała:

— Dobrze. Przynieś!

A tymczasem w pokoju szalał już niecierpliwy tupot dziecięcych nóg; w komórce czekały, pomiauowały i pi-szczały zamknięte dzikie zwierzęta.

— Proszę o ciszę. Rozpoczynamy przedstawienie! — zawołał Michał.

W tej samej chwili z sieni wypadli dwaj chłopcy, wystrojeni w kolorowe

bluzki starszej siostry, z długimi ogonami, uplecionymi ze sznura od bielizny. Policzki i ręce mieli wymazane sadzą.

Chłopcy skoczyli na trapez, zawieszony we drzwiach, i koziołkując na drążku, wykrzywiali twarze w straszliwe i śmieszne grymasy.

— Kto to? kto to? — pytały zdziwione dzieci.

Michał objaśnił:

— Małpy człekokształtne. Zwierzęta te podobne są zupełnie do człowieka.

Chłopcy ryknęli groźnie, aby pokazać dzieciom, że są naprawdę małpami. We drzwiach nieśmiało stanęła Halinka z papugą.

— Proszę, proszę, dla pani jest łóża! — zapraszał Michaś, wskazując jej miejsce na łóżku.

Papugę umieszczono z honorami na ramie okiennej. Ptak zatrzepotał niebieskimi skrzydłami i ochryplym głosem wrzasnął na całą izbę:

— Raz, dwa, trzy! Hurra! Dzień dobry!

Małpy z radości wywinęły kozła i,



platając się we własnych ogonach, uciekły do sieni. Dzieci z zapalem klaskały w ręce.

— Następny numer. Walka lwa z tygrysem! — próbował Michał przekrzyć hałas.

Popychany przez małpę w czerwonej bluzce wkroczył godnie żółty, puszysty zwierz. Stał pośrodku izby i zielonemi, zwięzłymi oczami rozejrzał się uważnie po publiczności.

— To wcale nie lew! — pisnęła Halinka, — to siamski kot pani Ulatowskiej.

Dzieci z urazą zwróciły głowy w jej kierunku.

Ktoś krzyknął:

— Nie podoba się, to niech idzie na Okólnik do cyrku!

— To jest teraz lew! — powiedziała surowo Geńka Szewczykówna.

Halinka przestraszona umilkła.

Za lwem wyskoczyło zwierzę dziwniejsze. Całe oblepione czarnymi paskami papieru.

— Tygrys afrykański! — ogłaszał donośnie Michał, — najbardziej krwiożercza, przegowana bestja.

Tygrys, skomląc żałośnie, usiłował zerwać z grzbietu papierową sierść.

— Kota! Kota! — szeptał żarliwie ode drzwi chłopiec w zielonej bluzce.

Tygrys rzucił się na wroga, ale lew zasyczał tylko gniewnie i łapką trzepnął tygrysa po nosie.

Dzieci śmiały się do rozpuku. Cała widownia wołała teraz:

— Bierz, Nero, bierz! Kota! Kota!

Pies, ujadając gwałtownie, próbował zająć lwa od tyłu. Kot uskoczył w porę, ale zato papuga, rozgniewana szczeniem, sfrunęła nagle z ramy okiennej wprost na grzbiet tygrysa i zakrzywionym dziobem zaczęła kuć zwierzę po łbie. Tymczasem kot, parskając, uciekł na piec i ułożył się wygodnie do snu.

Nagła zmiana w przedstawieniu nie zaskoczyła Michała. Goniąc za skomlącym ze strachu psem, objaśniał rozkrzyczaną, zarumienioną ze wzruszenia publiczność:

— Uwaga, proszę państwa! Jedyna na całym świecie papuga-woltyżerka!

A właśnie papuga zsunęła się z grzbietu psa i wymachując ciężko skrzydłami frunęła na trapez, wrzeszcząc:

— Raz, dwa, trzy!

Potem przeokożkowała kilka razy na drążku i wróciła dumnie na ramę okienną. Na następny numer trzeba było długo czekać. Pies, drżący jeszcze ze strachu, ukrył się w komórce i w żaden sposób chłopcy nie mogli go nakłonić do powrotu. Michał szybko zrywał paski papieru i doprowadzał do porządku zjezoną sierść. Bolek i Jędrrek na pociechę karmili go kielbasą.

— No, nie hój się, Neruś! — mówił Bolek, głaszcząc zwierzę, — teraz już będziesz psem, obiecuję ci!

Wreszcie Nero dał się ubłagać. Wszedł do izby, patrząc spodłba na papugę. Ale papuga nie zwracała na niego uwagi, więc ośmielony zgodził się skakać przez kijek i aportować.

— To nie jest zwyczajny pies, — tajemniczo oświadczył Michał, — rozumie wszystko, co do niego mówić. Kto chce się przekonać?

— Ja! ja! — krzyknęły dzieci.

— No, powiedz mu coś, Zośka!

Dziewczynka zapytała:

— Nero, chcesz bułkę?

Pies oblizał się smakowicie i machnął ogonem.

— E, to każdy pies potrafi! — odezwała się Halinka.

Obrażony Bolek uśmiechnął się złośliwie i wskazując na głowę Halinki, powiedział:

— Nero, tej pani jest gorąco!

W jednej chwili pies skoczył między krzesła, wspiął się na przednie łapy i zerwał Halince z głowy berecik.

Dziewczynka krzyknęła ze strachu. Ale gdy Nero grzecznie położył jej beret na kolanach, musiała ze wstydem przyznać:

— To naprawdę mądry pies.

— Następny numer programu. Kłótniwa kura, — oznajmił Jędrrek, wynosząc z komórki pstrokatą kokoszkę.

Nagle na schodach rozległy się głośne kroki i do mieszkania wpadła pani Ulatowska, wołając już od progu:



— Gdzie kot? Kto mi ukradł kota?!

Dzieci zmieszane siedziały cicho. Tylko Michaś, nie tracąc miny, odpowiedział spokojnie:

— Nie ukradł, tylko pożyczył.

— Ty, łobuzie! — krzyknęła pani Ulatowska.

Ale już zobaczyła kota, spokojnie siedzącego na piecu, chwyciła go w ob-

jęcia i drobnymi kroczkami wybiegła do sieni.

Michał z żalem podrapał się w głowę, spojrzał na zakłopotaną dzieciarnię i rzekł powoli:

— Proszę państwa, musiałem oddać Iwa, wypożyczonego od właścicielki zwierzyńca. Wobec tego na dziś przedstawienie skończone.

Wanda Grodzieńska

MIESZKANIEC WĘDRUJĄCEGO DOMU

Ja wiem, że znacie wiele kotów. Szkoda poprostu gadać. Białe i czarne, bure, rude, łaciate.

Maćki i Mruczki, Kiziuchny i Burusie.

Ale ja znałem kota, co się nazywał Wobo. I nie był czarny, rudy, bury, łaciaty. Był pręgowany. Podobny do tygrysa.

Nie mieszkał w żadnym mieście. Nie

mieszkał w żadnym domu. I choć się tyle mówi o przywiązaniu kotów do stałego miejsca pobytu, ten kot czuł się wspaniale w ciągłym podróżowaniu.

Jednego dnia usypiał w małym miasteczku. W nocy przejeżdżał las, nawet nie wiedząc o tem, a rano budził się przed wielkim miastem. Albo układał się na swoim legowisku, słysząc dźwięki tramwajów i ryki samochodów, a bu-



dził się o świecie, gdzieś w szczerem polu, nad którym słyhać było tylko skowronka.

Jakże tak mogło być? Ano, widzicie, Wobo nie był zwyczajnym kotem. Takim domowym mruczkim, ani burusiem. Wobo wędrował z cyrkiem.

Trzy wozy jadą drogą jeden za drugim. W pierwszym jadą artyści i sam dyrektor. W drugim różne przyrządy i dekoracje. W trzecim, ostatnim, Marcinek i zwierzęta.

Gdzie jedzie Wobo? W trzecim? Nie, nie ze zwierzętami. W pierwszym? Nie, nie przy ludziach. Tak. Właśnie! W drugim wozie.

Tu między starym koniem do gimnastyki, stojącym na zwichniętych, drewnianych nogach, a między paką z barwnymi kostjumami ma kącik ulubiony. Tam w nocy stula się w puszysty kłębek, tam leży, gdy na polu zimno lub ślota.

Ale w słoneczne dni nigdy tu nie zachodzi. W słoneczne dni wyciąga się na stopniach drewnianych schodków. Albo na dachu swego wozu. Albo składa wizyty.

Nie trzeba bowiem myśleć, że jest zdziwiałym kotem. Wobo lubi zwierzęta i wcale lubi ludzi. Zwierzęta trochę więcej, bynajmniej nie dlatego, że sam... Wobo uważa się za coś więcej, niż zwierzę. Jeżeli bywa częściej w trzecim niż w pierwszym wozie, to tylko dzięki temu, że tutaj łatwiej można się porozumieć.

Ludzie są tacy dziwni. Raz smutni, raz weseli. Czasem go przywitają rozpromienieni. Wołają: chodźże, chodź. Chcą głaskać. Chwalą. A czasem tupną, krzykną i precz przegonią.

A tutaj w trzecim wozie mała Wiryka jest zawsze jednakowo ochocza do zabawy. Dwa pudle, As i Bas, czarny i biały, zawsze jednak ledwo błysną oczyma. Uczona gęś, co umie maszerować pod takt muzyki, gęgnie życzliwie. Osioł przyjaźnie ryknie, a koń Maurycy potrząśnie łbem i grzywą na powitanie.

Jest wprawdzie też i człowiek, tu w trzecim wozie. Tak. Jest Marcinek. Ale ten się nie liczy. Zastał go tu już koń, zastała go Wiryka. Był chyba zawsze tu — tak myślą oba pudle. Zresztą Marcinek jest zawsze wesoły, jak Wiryka, równie spokojny jak osioł, równie wszystkim życzliwy, jak koń Maurycy.

Wobo przychodzi tu nietylko na wizyty. Tutaj ma miskę zawsze pełną je-



KŁOWN DIDY

dzenia. Tym w pierwszym wozie wiedzie się rozmaicie. Czasem zjadają obiad w restauracji. Czasem dyrektora usmaży coś dla wszystkich na piecyku. Czasem wystarczyć musi kawałek chleba. Ale tu w trzecim wozie, tu nikt nie cierpi głodu.

— Zwierzęta muszą jeść — mówi Marcin i wszyscy przytakują, dyrektor także.

Cóżby to było wieczór na przedstawieniu, gdyby tak As i Bas osłabły z głodu? A koń Maurycy, czy mógłby biec dokoła i nosić Małgorzatę, gdyby nie dostał codziennie swej porcji owsa?

Tak. Ale Wobo? Wobo, czy nie jest darmozjadem?

Nie umie żadnych sztuk. Nawet nie próbowano. Zanadto miał poważnie dostojną minę. Kiedy wieczorem pracują zgodnie ci z pierwszego i z trzeciego, mieszkaniac środkowego niczem się nie przyczynia do wspólnej doli!

Cóż robi Wobo wtedy, późnym wieczorem, kiedy już naciągnięto płótno namiotu? Kiedy zabłysną światła, przybędą goście, a na arenę wybiega koń Maurycy?

Popatrzcie tam, na prawo. Przy wejściu na arenę, cóż to tam leży zwinięte w miękkie kłębek?

Wpatrzony w sztuki wszystkich: zwierząt i ludzi trochę z podziwem, trochę z lekceważeniem, leży tu sobie Wobo i głośno mruczy.

Niech tam Wiryka wyczynia swe grymasy, niech wystrojona grzecznie siada za stołem. Niech Małgorzata, córka dyrektora tańczy na koniu, w złoto-białej sukience. Niech osioł najostrożniej toczy przed sobą kulę, a chudy pajac Bilbo niechże wywraca koziołki.

A nadewszystko niech

skaczą As i Bas przez kolorowe obręcze. Nie mrugną teraz okiem szyderczo i łaskawie. To Wobo mruczy teraz swoje zielone ślepią i patrzy z miną pełną politowania.

A jednak mimo wszystko nie jest tu darmozjadem i nikt mu nie zaprzecza prawa do pełnej misy.

Kiedy ożenił się pajac Antoni i został w mieście nazawsze przy swej żonie, zabrał ze sobą Woba, nie mówiąc nic nikomu. Ale po dwu dniach Wobo trafił na ślady i przybiegł nad wieczorem prościutko do namiotu. A, jakże wszyscy się ucieszyli!

Zwierzęta lubią słyszeć przy wejściu na arenę owo znajome dobrze głośne mruczenie. Arena staje się odrazu bezpieczniejsza, staje się miejscem, w którym nikomu nic nie grozi.

Dla dyrektora, żony, dla Małgorzaty, nawet dla wychudłego pajaca Bilbo, jest Wobo zapewnieniem, że cyrk może



być domem. Patrzcież, wiozą ze sobą
nie tylko trzeci wóz. Nietylko wyuczone
i nieodzowne zwierzęta. Tam, w drugim
wozie, mieszka ich kot domowy.

Czy Wobo wie, jak ważną jest
osobą?

Myszę, że tak. Jest przecież mądrym
kotem.
Helena Moskwińska



Dużo światła i ludzi... Zajęte łóżce,
zajęte ławki... mnóstwo dzieci w tłumie...
Cyrk falami głów dziś pieni się, jak morze
i jak morze, w czasie przypływu, szumi.

Gra orkiestra... Jeszcze... jeszcze krótka chwila,
przykre, niespokojne w serce ułknięcie
i wychodzę tańczyć swój taniec motyla
na wysoko w górę rozpiętym drucie.

Uśmiecham się... tańczę... Bojaźń niewymowna
ściska moje serce i pęta ruchy...
A za kulisami twarz starego kłowna
patrzy pocziwie, dodaje otuchy.

Z łoża na arenę spadła bombonierka
i czyjś głos dziecięcy powtarza stale:
„jakoś ślicznie tańczy ta mała tancerka
i, spójrz, mamusi, nie boi się wcale!”

Nieznajome, obce koleżanki moje!
chcę zawołać do was, chcę krzyknąć: — dzieci!
ależ ja się boję, ja się bardzo boję,
tylko, że wy o tem wcale nie wiecie! —

Zaraz już, za chwilę, kiedy skończę tańczyć
i uśmiechnięta, ale trochę blada,
skłonię się — rzucicie złote pomarańcze
do moich nóg, — i słodką czekoladę.



Wiem, że szczerze, z serca chcecie wynagrodzić
za czas, co w cyrku wam wesoło płynie,
mnie, małą tancerkę, która codziennie, codziennie
musi uśmiechać się, tańcząc na linie.

Anna Rudawcowa



W RZYMSKIM CYRKU

„Panem et circenses” — chleba i igrzysk — rozlegały się okrzyki tłumu, czekającego na otwarcie igrzysk przed amfiteatrem Flawiusza, zwanym Koloseum.

Niebawem otwarto podwoje i tłumy, jak wezbrana rzeka, runęły do środka. Lecz takie było mnóstwo nagromadzonych, że płynęli i płynęli nieprzebraną falą przez trzy godziny, aż dziwnem było, że amfiteatr może tak niezliczoną czerń pochłoniąć. Ale wielki był amfiteatr, bo 87.000 osób mógł pomieścić.

Zaczęli napływać arystokraci rzymscy, urzędnicy i senatorowie.

Niebawem przybył sam cesarz w otoczeniu konsulów, edylów, pretorów i prefekta miasta, witany przez lud długo trwającym okrzykiem: „Ave imperator — witaj wodzu!”

Widok był wspaniały...

Niższe siedzenia, nabite togami, bieleły, jak śnieg. We wspaniałem, wyłożonym „podium” siedział cesarz ze złotym wieńcem na głowie, ohok po obu jego stronach święte kapłanki Westy — „westalki”, dalej wiecey urzędnicy, senatorowie, starszyzna wojskowa.

W dalszych rzędach siedzieli ryccerze, zaś wyżej czerniało morze głów ludzkich.

Nagle ozwały się przeraźliwe głosy trąb i na dany znak otwarto obie połowy bramy. Poczęli się wysypywać z niej gromadnie zapaśnicy-gładjatorowie.

Na ich widok tu i ówdzie zerwały się po ławkach oklaski i okrzyki.

Gładjatorowie szli oddziałami po dwudziestu pięciu ludzi, osobno szli Germanowie, osobno, z dalekiej Grecji przywiezieni, olbrzymi Trakowie, osobno Samnici, Gallowie, Mirmillonowie...

Zaczęli okrążać arenę krokiem równym i sprężystym, migocząc srebrnymi zbrojami, poczem zatrzymali się przed cesarskim „podium” i czekali...

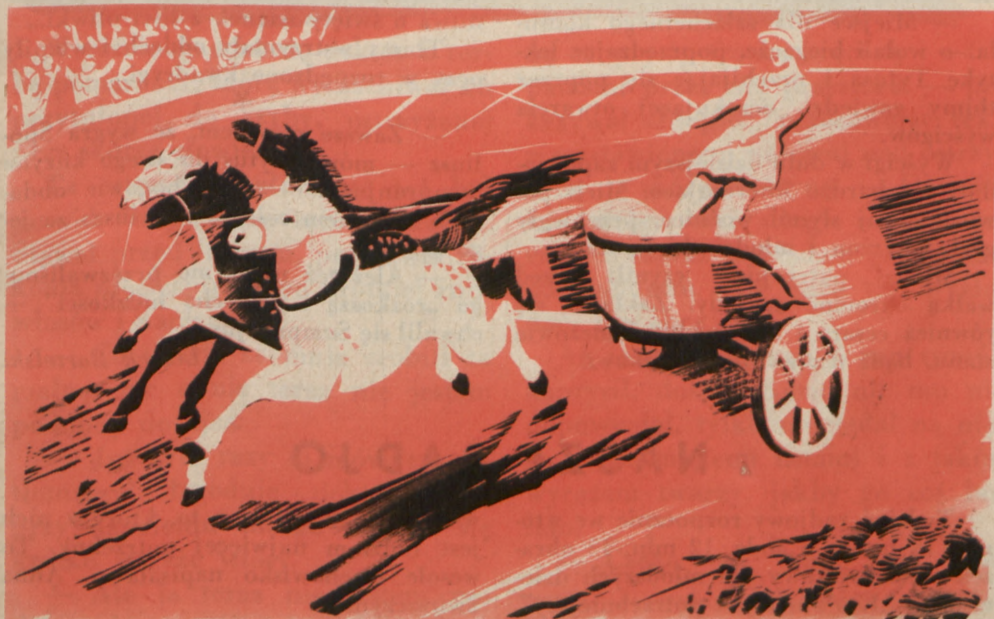
Zagrały rogi...

Umilkli wszyscy, a oni wyciągnęli w górę prawicę i wznosząc oczy i głowy ku Flawiuszowi, poczęli wołać:

„Ave, caesar imperator
Morituri te salutant.

— Witaj, cesarzu,
mający umrzeć pozdrawiają ciebie!”

Następnie rozsunęli się szybko, zajmując osobne miejsca.





Wystąpiła pierwsza para...

Walka była na życie i śmierć, a zwycięzca zyskiwał sławę ludu i wieniec z oliwki.

Zaczęli walczyć...

✱

Następnego dnia szlachetny konsul Marek Tytus Sabeliusz udał się na wyścigi do największego cyrku w Rzymie, do „circus maximus”.

— Miejsce dla szlachetnego konsula — wołali biegacze, poprzedzając lekturę Tytusa i przebijając się poprzez tłumy gawiedzi, oczekującej otwarcia wyścigów.

Wyścigi w dniu dzisiejszym zapowiadały się bardzo interesująco. Mieli powozić dwaj słynni woźnice, przebiegły grek Chyrron i młodziutki Spoliusz.

Młodzi patrycjusze czynili przed walką ogromne zakłady. Zakładał się również cesarz i inni wybitni mężowie stanu, bądź też wybitni wojskowi.

Pierwszych sześć biegów nie zainteresowało nikogo. Cała uwaga tłumu była skierowana do ów bieg siódmy.

Na arenę wjechały kwadrygi rzymskie, powożone przez Chyrrona, Spoliusza i wielu innych.

Zaczęto wyścigi...

Początkowo prowadził Chyrron, a na pięć okrążeń przed metą Spoliusz zaciął konie i rozpoczęła się szalona gonitwa o święty wianek z liści oliwki...

Tłumy wstrzymały oddech i wlepiły oczy w rozpędzone kwadrygi...

✱

— Zawsze mówiłem, że wygra Spoliusz — mówił Tytus do swego kuzyna Semproniusza. — Oby bogowie obdarzyli zdrowiem cesarza Flawiusza za jego zabawy.

— Ależ też niedarmo przezwaliliśmy go „rozkoszą i pociechą ludzkości” — chwalił się Semproniusz.

Leszek Bartelski

NASZE RADJO

Tydzień radiowy rozpocznie we wtorek, 18 lutego o godz. 12 min. 15 obrazek słuchowiskowy dla młodszych dzieci p. t.: „Kto z nas jest potrzebniejszy”. Wystąpią tu różni rzemieślnicy i po-

wstanie wielki spór o to, który z nich jest ludziom najczęściej potrzebny. To wesołe słuchowisko napisała p. Anna Świrszczyńska.

We środę, 19 lutego od godz. 16.00

do godz. 16 min. 20 radjo nada dla uczczenia pamięci niedawno zmarłego pisarza Rudyarda Kiplinga jego ciekawe opowieści. Audycja ma tytuł: „Opowieści Kiplinga” i starsze dzieci napewno chętnie ich posłuchają.

We czwartek, 20 lutego od godz. 16.00 do godz. 16 min. 15 Wasz dobry znajomy, Stary Pan Doktor opowie bardzo zajmującą historję.

W piątek, 21 lutego od godz. 12 min. 15 do godz. 12 min. 40 usłyszycie wesoły obrazek słuchowiskowy pod tytułem: „Obiad proszony”. Jest to zradjofonizowana bajka przez p. Benedykta Hertza. Z niej dowiedziecie się, jak chytry lis zaprosił na pyszny obiadek znajomego bociana i jak mądry bocian od wzajemnił się lisowi.

Zaraz po tem słuchowisku „Te cztery” zaśpiewają kilka bardzo ładnych piosenek.

Jeszcze tego dnia od godz. 16 min. 45 do godz. 17.00 będzie opowiadanie dla młodszych dzieci p. t.: „Zimowa bajka” pióra p. Janiny Niżyńskiej.

W sobotę, 22 lutego od godz. 16 m. 15 do godz. 16 min. 45 starsi i młodszy posłuchać mogą wesołego słuchowiska pod tyt.: „Historja orzecha Krakutka i księżniczki Pirlipaty”. Słuchowisko zostało opracowane według znanej opowieści Dumasa i jest ilustrowane muzyką.

W niedzielę, 23 lutego od g. 16.00 do godz. 16 min. 15 „Chwilka pytań” w dowcipny sposób da odpowiedzi na pytania młodych radjoabonentów.

I w poniedziałek, 24 lutego od godz. 18 min. 30 do godz. 18 m. 40 zasiądzie przy mikrofonie Mamusia radjowa, aby omówić „listy” młodszych i starszych dzieci i pogawędzić ze swoimi przyjaciółmi.



Wreszcie zjawiał się doktor z torbą pomarańcz, którą wymachiwał ku przytulonej do szyby, ostrzyżonej przy skórze głowie.

Ta ostrzyżona głowa to też był powód do częstych żalów chłopca. Stawał przed lustrem, przesuwając rękoma niecierpliwie po krótkiej runi włosów i narzekał:

— Co wyście ze mnie zrobili za małpę, nic a nic teraz nie jestem podobny do ojca.

— Już tyle razy ci mówiłem — tłumaczył łagodnie doktor — że przy zapaleniu mózgu zawsze się krótko strzyże włosy.

— Ale ja teraz nie jestem podobny do ojca. Ojciec ma taką ślicz-

ną czuprynę, trochę kręconą i o tak palcami przez nią przesuwam — pokazywał chłopiec, przesuwając ręką z rozstawionymi palcami nad ostrzyżoną do skóry łepetyną. — Dawniej i ja miałem takie długie włosy, a teraz co? Teraz wyglądam jak żołdat, jak żandarm. Nie chcę tak wyglądać, nie chcę!

Aż raz, gdy znowu w ten sposób kaprysił, doktor Kazio nic mu nie odpowiadał, tylko spoglądał na niego z zaciśniętymi ustami i z takim wyrazem twarzy, jakby go coś bolało.

— Czego na mnie tak patrzysz? — wybuchnął chłopiec. — Myślisz, że zwarzjowałem przez tę cho-



robę? Nawet nic nie odpowiadasz.

— Właśnie chcę ci coś powiedzieć, — zaczął doktor z wahaniem.

— No to powiedz, a nie patrz tak dziwnie.

Doktor przyciągnął go do siebie, wziął na kolana.

— Bo widzisz, — zaczął znów niepewnie, — jeżeli ci chodzi o głowę...

— Więc co, więc co? — naglił chłopiec.

— Jeżeli ci chodzi o podobieństwo do ojca, to właśnie teraz z temi krótkimi włosami jesteś podobny do niego — jakim jest obecnie.

— Ostrzygli mu włosy! — wykrzyknął chłopiec. — Dlaczego mu ostrzygli włosy?

— Ogolili.

— Ogolili! Co oni mu chcą zrobić, mów, mów?

— Uspokój się. Nic mu nie chcą zrobić, tylko w więzieniu nie jest czysto, zdarza się robactwo, więc, rozumiesz, dla porządku...

Kiwnął głową, że rozumie, pod-

szedł do lustra, przesunął ręką po głowie, a po chwili wybuchnął krzykiem i płaczem.

— Gdzie oni wsadzili ojca? Ja nie chcę, żeby on siedział w brudzie i robactwie, mój najdroższy ojciec, najlepszy na świecie! Ja nie chcę! Porwijcie go stamtąd, niech ucieknie, niech tam nie siedzi, niech się nie męczy!

Doktor chwycił chłopca na ręce, tulił go, uspakajał, dał mu kropli laurowych, aż zmęczony malec zasnął w jego ramionach. Wówczas ułożył go na otomanie, przykrył pledem i poleciwszy opiece Antoniowej, wymknął się cichaczem z mieszkania.

Późno już było i Antoniowa nakrywała do kolacji, gdy się Stefan obudził, siadł na otomanie, mrugnął oczami, które raziło światło lampy i nad czemś przemyślał.

— Wie Antoniowa — rzekł wreszcie, — że ojcu ogolili głowę?

— Tak, katorżnikom zawsze połowę głowy gołą — odparła.

— Katorżnikom — szepnął — katorżnikom? Co to takiego?

— Ja tam dobrze nie wiem, tylko słyszałam, że naszego pana skazali na katorgę, a stróż powiadał, że katorżnikom golą połowę głowy, bo jakby który uciekł, toby go ludzie po tej głowie poznali i odprowadzili do katorgi.

Chłopiec mrugnął oczami, a w ostrzyżonej głowinie luczał mu straszny, nieznany wyraz „katorga”! W nocy dostał gorączki, stracił przytomność i ciągle wkołko wołał:

— Katorga! Katorga!

Doktor Kazio był zrozpaczony i robił sobie wymówki, że wczorajszą rozmową wywołał powrót choroby.

— Ale ja mu nie nie mówiłem

o katordze, przysięgłbym, że nie — zapewniał siebie i mamę.

— Musiał usłyszeć naszą rozmowę — przypuszczała matka.

— Chyba. Jak jednak trzeba na niego uważać. Ze strachem myślę o waszym wyjeździe na wieś.

— Na wsi, na świeżem powietrzu, wśród nowych wrażeń, prędzej przyjdzie do siebie.

— Może, ale jednak niech pani bardzo na niego uważa.

Tym razem choroba Stefana trwała krótko. Po tygodniu już wstał, jadł z apetytem pomarańcze, przynoszone przez doktora Kazia, ale nie garnął się do niego tak jak dawniej. O nic też nie pytał, ojca zupełnie nie wspominał.

c. d. n.

Bronisława Włodkówna



Kochani,

Chcecie wiedzieć, co słyhać w redakcji i co teraz robię... Pracuję, bo przecież co tydzień muszę przynieść moim czytelnikom nowe opowiadania i ilustracje, a także dać odpowiedzi na wszystkie listy, które codziennie poczta przynosi.

Aż miło czytać, tyle w nich serdecznych słów i ciekawych opowiadań.

Dziękuję serdecznie za życzenia, aby mnie wszystkie dzieci czytały i coraz więcej kochały. Zapewniam Was, że i ja bardzo pragnę zaprzyjaźnić się ze wszystkimi dziećmi...

Frankowi Dąbrowskiemu z Suchowoli i Władzi Jankowskiej ze Lwowa odpowiadam na pytanie: co trzeba umieć, aby dobrze pisać utwory. Trzeba, do-

brze znać język i mieć talent do pisania. A w każdym utworze, czy to będzie wiersz, opowiadanie lub opis, trzeba umieć powiedzieć coś nowego i ciekawego. Ale „Płomyk” wcale nie wymaga, abyście pisali tak, jak dorośli. Przyślijcie swoje prace, może umieścimy je w piśmie.

Dzieci z Czepiel i Mosarza proszą za moim pośrednictwem, aby dzieci z innych szkół zechciały korespondować i opiekować się nimi. Adresy tych dzieci:

1. Szkoła powszechna w Czepielach, poczta Kuźnica k/Grodna, pow. sokólski.

2. Szkoła powszechna w Mirocinie, p-ta Przeworsk, woj. lwowskie.

3. Szkoła powszechna w Mosarzu, woj. wileńskie.

Chętnie nawiąza korespondencję ze szkołami w miejscowości górskiej:

Klasa VI szkoły powsz. w Janowcu koło Gniezna i

Klasa VII szkoły powsz. w Suchedniowie, pow. Kielce.

Ze szkołami z Kresów Wschodnich i Poznania pragną wymienić listy:

Klasa V-B szkoły im. Tadeusza Czackiego w Tarnowie, ul. Warzywna Nr. 3.

Klasa VI szkoły powsz. w Trzciannem, pow. białostocki.

Klasa VI szkoły powsz. w Sompólnie, skrz. poczt. Nr. 20.

Kółko L. O. P. P. przy szkole powsz. w Witkowie, pow. Sępólno, Pomorze.

Ze szkołami w Warszawie chętnie będą korespondować:

Klasa VI szkoły powsz. Nr. 2 w Pińsku, Polesie.

Klasa V szkoły powsz. w Sompólnie, skrz. poczt. Nr. 20.



Nazwa „cyrk” pochodzi od kręgu stanowiącego tor wyścigowy.

Pierwotnie w starożytności w cyrkach odbywały się tylko wyścigi wozów dwukołowych zwanych rydwanami zaprzężonych w dwa albo w cztery konie i w takim wypadku zwanych kwadrygami.

Wyścigi cyrkowe cieszyły się w Rzymie wielką popularnością. Nieomal cała ludność dzieliła się na stronnictwa „zielonych” i „błękitnych”. Kolory te były tradycyjnymi odznakami rywalizacyjnych stajni.

Nieraz na tle rywalizacji wyścigowej dochodziło do poważnych rozruchów i zamieszek.

Właściwe igrzyska i walki odbywały się zwykle w amfiteatrach, mniejszych i bardziej okrągłych. Wystawiano w nich komedje poczem odbywały się zapasy, bardzo często śmiertelne, uzbrojonych niewolników, zwanych gladiatorami. Stacjali oni pojedynki a nawet walki całymi oddziałami ze sobą lub z dzikimi zwierzętami.

Krwawe widowiska cyrkowe przetrwały do dzisiejszego dnia w Hiszpanji i niektórych krajach południowej Ameryki, zamieszkiwanych przez potomków hiszpańskich kolonistów, w postaci wal-

ki byków. Ścisłej mówiąc walki ludzi z bykiem.

Walka z bykiem mimo jego większej siły jest łatwiejsza niż walka z krową, bo byk atakując zamyka oczy i leci naoslep. Łatwo jest wówczas uskokczyć mu z drogi. Krowa natomiast cały czas uważnie śledzi ruchy przeciwnika.

Największy cyrk w dawnym Rzymie był 635 metrów długi i ponad 100 metrów szeroki. Mieścił 180 000 do 190 000 widzów. W różnych przebudowach w ciągu czterech wieków zwiększano jego pojemność, tak że pod koniec państwa rzymskiego mogło się w nim zmieścić 385 000 widzów.

Wyobraźcie sobie, że gdyby taki cyrk był w Warszawie, cała jej ludność mogłaby obejrzeć program w czterech przedstawieniach a ludność całej Polski w 100 przedstawieniach.

Przed kilkudziesięciu laty ogromnem powodzeniem i rozgłosem cieszył się amerykański cyrk Barnuma.

Co tylko było na świecie ciekawego musiało być i w tym cyrku, oczywiście było też odpowiednio rozreklamowane.

Barnum był ojcem i mistrzem nowoczesnej reklamy. Obecnie zastąpiły go tygodniki filmowe.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS



SZARADA

Pierwsza — jest w armji i w damie
(samogłoska niedługa).

Druga — to nuta w gamie
(z tych niskich druga)

Trzecia — przyimek z dwóch liter,
a *całość* — cyrkowe koło,
gdzie zwierzęta rozmaite
skaczą wesoło.

ZAGADKA 1.

Nie jest myśliwy,
chodzi bez broni,
a czyni dziwy
wśród lwów i słońi.

ZAGADKA 2.

Na „a” się zaczyna,
kończy się na „z”.
Przy wejściu do kina,
przy cyrku na bramie,
opowie ci wnet
od a do z
co jest w programie.

ZAGADKA 3.

Czy dębina,
czy grabina,
każdy się dogóry wspina,
Bo czy szerzej,
czy wężiej —
jednakowe gałęzie.

PIRAMIDA



Wpisać trzy wyrazy poziomo: 1—
spółgłoska, 2—głos dzikich zwierząt,
3—coś, co zatyka butelki, 4—inaczej:
chcemy znaleźć. Pionowy rząd da roz-
wiązanie.

ROZWIĄZANIA z N-RU 22

Rebus: wypływa okręt na burzliwe
morze. Zagadka 1—mewa, 2—maszt,
3—sport, port, 4—ocean, 5—bałwan.
Szarada 1—morze, 2—parowiec. Wizy-
tówki: marynarz, sternik, palacz, me-
chanik.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż)	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny —
Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY
ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIĄŻEK.
Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa

